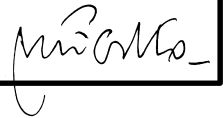


CHARYZMATYCZNY LIDER OPOZYCJI



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Polska kontra reszta świata

Rządzona przez PiS Polska stała się obiektem zdradzieckich ataków z kilku stron naraz. Przed świętami gwałtownej napaści na Polskę dokonał Władimir Putin, na początku roku agresywne kroki wobec Polski podjęła Komisja Wenecka i marszałek Senatu Tomasz Grodzki. Z USA nikt nie zadzwonił do Polski w sprawie sytuacji w Iraku, co dla Polski było ciosem szczególnie bolesnym. Z kolei prezydentowi Polski Andrzejowi Dudzie nie zaproponowano zabrania głosu podczas Światowego Forum Holokaustu w Jerozolimie, w odpowiedzi na co Duda – chcąc pokazać, że nie da sobie tak łatwo zamknąć ust – odmówił udziału w imprezie i zdecydował się pozostać w kraju, gdzie może zabierać głos bez żadnych ograniczeń.

Jakby tego było mało, na otoczoną przez wrogów i opuszczoną przez sojuszników Polskę napadł najwyższy przywódca Iranu, nazywając Polskę „bardzo małym krajem”. To napaść szczególnie wredna, bo nie wymienił on Polski z nazwy, czym wywołał ostre podziały w polskim społeczeństwie. Część Polaków uważa, że irańskiemu przywódcy nie mogło chodzić o Polskę, która – jak wiadomo – jest krajem bardzo dużym i ważnym, tylko o Albanię. Inni mają wątpliwości, czy Albania nie jest za mała na to, żeby najwyższy przywódca kraju tak dużego jak Iran mógł mieć ją na myśli w swoim przemówieniu. Dlatego



podejrzewają, że jednak chodziło o Polskę, którą przywódca Iranu najwyraźniej chciał obrazić sugestią, że jest tak mała, że może nie wymieniać jej nazwy.

Nie wiem, czy w tej sytuacji Polska nie powinna zażądać od Iranu przeprosin. Gdyby Iran odmówił, Andrzej Duda w ramach retorsji powinien jasno i wyraźnie oświadczyć, że Iran też jest bardzo małym krajem, mógłby również zrobić w tej sprawie którąś ze swoich groźnych min. Gdyby i to nie zrobiło na Iranie wrażenia, jestem za tym, żeby Duda sięgnął po swoją najgroźniejszą broń i opowiedział jakiś dowcip o Irańczykach, dając w ten sposób do zrozumienia, że żarty się skończyły.

Na razie w odpowiedzi na pojawiające się z różnych stron zagrożenia prezydent Duda podjął błyskawiczną decyzję o niezwoływaniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Opozycja jest tym zaniepokojona, ale uważam, że niepotrzebnie, bo zwołanie przez Andrzeja Dudę RBN i tak nie wpłynęłoby na poprawę stanu bezpieczeństwa Polski bardziej niż jej niezwołanie. Zresztą prezydencki doradca prof. Zybertowicz uspokaja, że wszystkie ważne informacje o sytuacji w Iraku i wpływie tej sytuacji na bezpieczeństwo Polski przedstawiciele opozycji mogą znaleźć w światowych mediach i jeśli się z nimi zapoznają, będą wiedzieli dokładnie tyle, ile prezydent Duda.

Zestaw Konsola MICROSOFT Xbox One S 1TB z dodatkowym kontrolerem Xbox One i grą EA SPORTS™ FIFA 20



 XBOX ONE S

 Microsoft

Zestaw dostępny w sieciach:

 VOBIS

 RTV EURO AGD

 mediaexpert

 Media Markt

Bieguni i trybuni



Jerzy Baczyński

Podczas uroczystej gali, transmitowanej na żywo przez TVN, 14 stycznia wręczyliśmy po raz 27. Paszporty POLITYKI. Wielu artystów i krytyków mówi, że Paszporty to dziś najważniejsza nagroda, jaką może w Polsce otrzymać młody twórca. Tu się nie będziemy spierać; jedno jest pewne, że długa lista laureatów Paszportów to niemal kompletna galeria najważniejszych postaci współczesnej kultury polskiej – w tym roku poszerzona o kolejne warte zapamiętania nazwiska.

Olga Tokarczuk (Paszport w 1996 r., która na gali odebrała doroczną nagrodę specjalną) mówiła niedawno, że kultura – bardziej niż węgiel – mogłaby stać się polską specjalnością narodową. Ma rację: zwłaszcza ostatnie lata były dla polskich twórców wyjątkowo udane. Po Oldze Tokarczuk na światowe listy bestsellerów literackich trafił właśnie Andrzej Sapkowski (Paszport 1997 r.); kolejne polskie filmy wygrywają festiwale i oscarowe selekcje (właśnie nominację do Oscara otrzymał film „Boże Ciało”, którego współautorzy także byli nominowani do tegorocznych Paszportów). Nasz teatr, muzyka, sztuki wizualne, gry wideo są silnie obecne w międzynarodowym obiegu. Ba, wielu artystów, w tym także nowi laureaci, to dziś prawdziwi „bieguni” – artystyczni nomadzi nieustannie krążący między Polską i resztą świata. I na szczęście to oni (a nie nadęta państwowymi pieniędzmi Polska Fundacja Narodowa) budują za granicą wizerunek dzisiejszej Polski.

Niestety, przyzwyczailiśmy się już do tego, że Ministerstwo Kultury nie interesuje się Paszportami i „paszportowcami” POLITYKI. Przeżyjemy: historia tej nagrody zaczęła się na długo przed dojściem PiS do władzy i będzie trwała długo po ich odejściu. Choć kultura polska barw partyjnych nie nosi, obecna władza zapisała większość artystów do opozycji, bez względu na to, czy w ogóle objawiają jakiegokolwiek zainteresowanie polityką. Uznaje i wspiera tylko te niewielkie obszary działalności kulturalnej, które może kontrolować. (W tym sensie z kulturą jest jak z sądownictwem – ością w gardle tkwi niezależność ludzi i instytucji). Oburzenie, często agresję rządzących polityków, budzi naruszanie przez „samowolnych twórców” rozmaitych obyczajowych, światopoglądowych, historycznych czy estetycznych tabu, jakich pełno w prawicowym imaginariu.

To zresztą ciekawe, że władza postrzega swoich zwolenników jako ludzi bojaźliwych, niepewnych swojej tożsamości, jak dzieci wymagających ciągłej emocjonalnej i mentalnej ochrony. Państwowy mecenat redukowany jest więc do patriotycznego muzealnictwa, folkloru, historycznych spektakli i prostej rozrywki. Władza znów odtwarza podział na kulturę elitarną (trudną, jak książki Tokarczuk dla ministra Glińskiego), „udziwnioną” oraz ludową, której symbolem stało się lansowane

niemiłosiernie przez rządową telewizję zdrowe, rześkie i sprośne disco polo. Nawet Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy jest przez władzę i przez TVP bojkotowana jako niebezpieczna „nihilistyczna” manifestacja spontanicznej wspólnoty i wolności.

W traktowaniu kultury przez obecną władzę dotykamy jednej z fundamentalnych cech populizmu. Nie chodzi tu bynajmniej o sam konserwatyzm, ale, jak mówi znany bułgarski politolog Ivan Krastev, „o walkę z własnymi elitami”. Antyelitaryzm to obojętne przebranie dzisiejszych populistów: bez względu na to, jakie sami mają i zarabiają miliony, z jakich przywilejów i władzy korzystają, muszą przedstawić się jako wieczna opozycja, ofiary, ludzie gnębieni przez potężne krajowe i zagraniczne (np. brukselskie) elity i lobby. Yascha Mounk, autor głośnej książki „Lud kontra demokracja”, przywołuje w tym kontekście postać Donalda Trumpa, multimiliardera, a jednocześnie człowieka, który zawsze czuł się nieakceptowany, wykpiwany przez nowojorski czy waszyngtoński establishment. Teraz bierze na nich odwet, szokuje, lekceważy, prowokuje, czym zaskarbia sobie sympatię tych wszystkich, których – jak pisze Mounk – „zamożny lekarz czy prawnik nigdy nie zaprosiliby do miejscowego klubu”. Jeśli wciąż zadajemy sobie pytanie, dlaczego mimo tylu afer, głupstw i nadużyć PiS nie traci popularności albo dlaczego Donald Trump – gotów wpisem na Twitterze wywołać wojnę – ma dziś rekordowo wysokie poparcie, to także dlatego, że „nowi populiści” z dużą zręcznością „wkurzają elity”, pozwalają swoim wyborcom być, jakimi chcą, pogardzać, kim chcą, wyrzucać z siebie emocje i frazy, które dotąd uchodziły za wstydlive i nieoprawne – słowem, w trudnych czasach oferują psychiczną ulgę.

Seanse nienawiści wobec „elit” to polityczne narzędzie rutynowo stosowane przez tego typu rządy. Jak to działa, widać na przykładzie skoordynowanej akcji aparatu władzy przeciwko marszałkowi Senatu Tomaszowi Grodzkiemu. Eksponowany jest przede wszystkim jego „elityzm”: dom, samochód, oszczędności, tytuł, prywatna praktyka. Anonimowe oskarżenia o łapówkę są obudowane sugestiami prorządowych komentatorów i trolli, że jeśli się dorobił sporego majątku, to „skądś go musi mieć”. Kuriozalny apel CBA, aby zgłaszał się każdy, kto chciałby zarzucić prof. Grodzkiemu „przyjęcie korzyści majątkowej”, pobudza te same emocje, jakie za pierwszych rządów PiS miała wywołać „sprawa dr. Mirosława Garlickiego”. Wpisać się w stereotyp, uprawomocnić ludowe opowieści o tym, że „lekarze biorą”, że bez pieniędzy nie ma leczenia i że – oczywiście – ludowa władza staje przeciw profesorskim elitom i (jak przy innej okazji mówił Trump) oczyści to bagno. Dokładnie te same chwytły stosowano i stosuje się nadal wobec sędziów i „kasty prawniczej”. Ba, do elit, przeciwstawionych zwykłym ludziom, zaliczono nawet zarabiających grosze nauczycieli, kiedy śmieli przeciwstawić się władzy. W każdej chwili elitą mogą zostać przedsiębiorcy oburzający się na podnoszenie obciążeń fiskalnych, lekarze rezydenci, młodzi ludzie wyznający „ekologizm” lub ktokolwiek inny. Taka jest logika tego systemu.

Opozycja – mowa także, może przede wszystkim, o wyborcach opozycji (piszemy o nich więcej na s. 28) – musi jak najszybciej wyrwać się z narzucanego przez PiS podziału Polaków na propiowski lud i antypiowski elity. To sztuczna konstrukcja, zwłaszcza w Polsce, gdzie zawodowe, naukowe, kulturalne, a nawet biznesowe elity na ogół wywodzą się z tej samej co wszyscy peerelowskiej biedy. To nie jest kraj arystokratów. Jasne, że antyelitarna, „klasowa” propaganda ma uderzać przede wszystkim w dzisiejszych przeciwników władzy, gorzej, że przy okazji lansuje destrukcyjną społecznie kategorię „wstydu z awansu”. Na szczęście w każdym pokoleniu pojawia się mnóstwo takich osób, jak laureaci Paszportów POLITYKI, którzy mają własne ambicje, projekty na życie, robią swoje – i może nawet zrobią kariery. Tego się nie da zadekretować ani zabronić. Tak jak ministrowi kultury nikt nie może odebrać wolności nieczytania Olgi Tokarczuk.



PiS strzela nam samobója

Rocznica wyzwolenia obozu, który hitlerowcy zbudowali dla Polaków na terenie okupowanej Polski, będzie obchodzona za granicą pod nieobecność prezydenta Polski. Nie wiem, jak można bardziej wymanewrować się na margines.

Znowu się rząd nieźle zakałapuścił w sprawach zagranicznych. Pan prezydent chciał w Jerozolimie dać odpór Putinowi za jego kłamliwe słowa o roli Polski w II wojnie światowej, ale mu nie pozwolili. Miało to być na imprezie Yad Vashem i Mosze Kantora, upamiętniającej wyzwolenie Oświęcimia, przeniesionej z Polski. Andrzej Duda publicznie postawił warunek, że pojedzie, jeśli pozwolą mu dać świadectwo, po czym gdy mu odmówiono, rządowa propaganda wyzwała gospodarza od komuchów i ruskich agentów. Co rodzi oczywiste pytania. Jeśli organizatorem uroczystości jest komuch i agent Putina, to dlaczego Andrzej Duda w ogóle rozważał uczestnictwo? I jeśli komuch i agent Putina, to dlaczego nasz prezydent oczekiwał, że da mu platformę do polemizowania ze swoim patronem? W polityce zagranicznej warto mieć ruchy przemyślane dalej niż kolejne wydanie „Wiadomości” TVP. I jeszcze jedno: jeśli na szczble głowy państwa trzeba publicznie kogoś szantażować, to prawie zawsze już się przegrało.

Co ważniejsze, kryzysy zawsze weryfikują tak pozycję kraju, jak i skuteczność jego polityki zagranicznej. W kryzysie okazuje się, kto trafnie przewidywał i ustawił się w pozycji, która daje wpływy, a kto tylko gardłował po próżnicy. Kto wnosi do sytuacji atuty, a kto może tylko obserwować, jak działają inni. Kto prowadzi politykę, a kto publicystykę.

Niestety, tak w sprawie pyskówki z Putinem, jak i kryzysu z Iranem nie wypadliśmy najlepiej. Prezydent Rosji, wiadomo, buduje jedność ideologiczną swojego kraju wokół mitu zwycięstwa ZSRR nad III Rzeszą i ten mit, jak każdy, nie pozwala na niuanse czy odcienie. Polska jak zwykle zawadza, zarówno jako wyrzut sumienia, jak i konkurent do roli ofiary. Dopóki Putin przyjeżdżał na Westerplatte, do Katynia czy do Auschwitz, musiał balansować potrzebę budowania mitologii ZSRR w polityce wewnętrznej z wymogami polityki zagranicznej, w której nadmierne odstawianie od alianckiej narracji historycznej nie uchodziło. I dlatego w interesie Polski było, aby Putin o historii mówił jak najczęściej w Polsce lub przy Polakach. Bo wtedy stalinowskie kłamstwa musiał zlecać niższym szczeblom, z mniejszą siłą rażenia. Ale rządowi PiS udało się strzelić nam samobója i ze swoją tradycyjną mieszkanką nadętości moralnej oraz krótkowzroczności Putina do Auschwitz nie zaprosił. Mimo że to Armia Czerwona, a nie żołnierze wyklęci, zajęła obóz

i uwolniła pozostałych jeszcze więźniów. Rezultat jest jak koszmar sen polskiego dyplomaty. Rocznica wyzwolenia obozu, który hitlerowcy zbudowali dla Polaków na terenie okupowanej Polski, będzie obchodzona za granicą pod nieobecność prezydenta Polski. Nie wiem, jak można bardziej wymanewrować się na margines.

Takoż w przypadku kryzysu na Bliskim Wschodzie. Mimo naszej usłużności w sprawie zwołania w 2018 r. w Warszawie konferencji na temat Iranu ani sekretarz stanu, ani prezydent USA nie zmieścili swoich polskich odpowiedników na liście kilkudziesięciu rozmówców w szczytowej fazie kryzysu. Co raczej potwierdza podejrzania z czasów owej konferencji, że posłużyliśmy bardziej jako dostawcy cateringu niż polityczni partnerzy. A szkoda, bo nie tylko mamy stosunki dyplomatyczne z Iranem, ale też są one dłuższe niż istnienie Stanów Zjednoczonych. Gdybyśmy wobec Iranu zachowali elementarną kurtuazję i choćby pozory niezależności wobec USA, moglibyśmy odegrać jakąś moderującą rolę.

A tak kryzys irański oglądamy przez szybę, co ma – jak mawia klasyk – plusy dodatnie i plusy ujemne. Dodatnie takie, że nikt nie spodziewa się, że Polska weźmie udział w jakiejś amerykańskiej akcji na Bliskim Wschodzie, i powinniśmy już konsekwentnie trzymać dystans. A ujemne takie, że ponownie uświadomiliśmy sobie, że obecny rząd nie jest w stanie budować modicum zgody narodowej, nawet wtedy gdy nad głowami naszych żołnierzy śmigają rakiety.

Przypomnę, że nie zawsze tak było. Zarówno podczas kryzysu gruzińskiego, jak i ukraińskiego nie tylko zbierała się Rada Bezpieczeństwa Narodowego, na której szefowie stronnictw byli informowani o niejawnych aspektach polityki rządu, ale też Ministerstwo Spraw Zagranicznych briefowało odpowiednie komisje Sejmu i Senatu oraz – wedle życzenia – poszczególne kluby parlamentarne. Dzisiejsza władza działa wedle maksy: głosujcie i nie przeszkadzajcie! Opozycja ma w ciemno popierać politykę rządu – nawet jeśli uważa ją za głupią – a w zamian może przez parę dni nie być nazywana targowicą w rządowych gadzinówkach. Jest to nawiązanie do tradycji, ale chyba takich, których powtarzać nie powinniśmy. Schyłkowa sanacja nie powołała rządu jedności narodowej nawet w 1939 r. Churchill mógł zasiadać w jednym gabinecie z Attlee przez całą wojnę, ale Beck z Witosem – nie. Prezydent Komorowski mógł na RBN zapraszać Kaczyńskiego, ale prezes PiS zaprosić Schetyny Dudzie nie pozwolił.

Jest jeszcze jeden aspekt ostatnich wydarzeń, który powinien nas niepokoić. W obliczu eskalacji wydarzeń na Bliskim Wschodzie wydaje się, że przywódcy największych państw Europy Zachodniej nawet nie pomyśleli, aby zachować się zgodnie z literą i duchem traktatu z Lizbony i powierzyć działanie w swoim imieniu przewodniczącemu Rady Europejskiej czy wysokiemu przedstawicielowi Unii ds. polityki zagranicznej. Kanclerz Merkel nie proponuje zwołania kryzysowej Rady Europejskiej, lecz jedzie na rozmowy do Moskwy. Prezydent Macron nie dzwoni do Ursuli von der Leyen, lecz... też do Moskwy. Spełnia się więc marzenie naszych nacjonalistów, aby to państwa narodowe, a nie instytucje europejskie, były głównymi aktorami na światowej scenie. Niestety, już widać, że Polsce przypada wtedy – przynajmniej przy tak prowadzonej polityce zagranicznej – nie rola współautora partytury, ale widza. Jak zwykle nacjonaści szkodzą narodowi.



© JAN KOZA



Absurdy władzy

Ewa Siedlecka

Sobotni Marsz Tysiąca Tóg przejdzie do historii Europy. „Nigdy w dziejach sędziowie z całej Europy nie szli razem w obronie praworządności” – mówił pod Sejmem prezes Europejskiego Stowarzyszenia Sędziów José Igreja Matos. Z polskimi sędziami, adwokatami, radcami prawnymi, notariuszami i prokuratorami szli sędziowie z 22 krajów świata. A także wspierający ich obywatele – warszawski Ratusz szacuje, że w marszu mogło uczestniczyć 30 tys. osób.

Nie wiadomo, jakie wrażenie zrobiło to na PiS i czy rządzący myślą o wycofaniu się z ustawy kagańcowej – o co apelują nie tylko międzynarodowe organizacje prawników, ale też specjalny wysłannik ONZ, Komisarz Praw Człowieka Rady Europy oraz Komisja Europejska. Wiadomo natomiast, że było to niezwykle wsparcie dla polskich sędziów, którzy za obronę praworządności są przez władzę szykanowani. Sędziowie dostali potwierdzenie, że mają – prawnie i moralnie – rację w oporze przeciwko „reformom”. I że ten opór to wspólna sprawa nas wszystkich.

Różnicę pomiędzy sędzią zależnym a niezależnym od władzy pokazała prezes Sądu Rejonowego w Elblągu Agnieszka Walkowiak, która w przeddzień Marszu aresztowała sędziom



togi. Władza PiS zapewne będzie potrafiła to docenić. A może nie, bo czyn pani prezes – sławiony w memach i wierszykach – tylko zmobilizował sędziów z całej Polski do pójścia w Marszu, koniecznie w togach.

W podobnych oparach absurdu unosi się polski rząd, broniąc ustawy kagańcowej. Pytany o nią przez dziennikarzy niemieckiego dziennika „Die Welt” Mateusz Morawiecki powiedział, że chodzi o reformę, która wyeliminuje sędziów komunistycznych. Gdy dziennikarka zauważyła, że polscy sędziowie mają średnio 40 lat, niespieszony stwierdził, że ukształtowali ich sędziowie komunistyczni. Racja. Premier Morawiecki też był kształtowany przez komunistycznych nauczycieli. A wszyscy, może poza kilkulkami, jesteśmy ukształtowani przez komunistycznych rodziców, kształtowanych przez komunistycznych dziadków – jeśli tylko nasze rodziny mieszkały w PRL. Czas więc pomyśleć nie tylko o wymianie sędziów, ale i społeczeństwa.

Do Polski przyjechała – na zaproszenie marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego – delegacja Komisji Weneckiej, żeby wydać opinię o ustawie kagańcowej. Nie spotkał się z nią nikt z rządu, bo PiS uznał, że to wizyta prywatna. Co więcej, wiceminister sprawiedliwości Marcin Bychoń w liście do Komisji poradził jej członkom, by wybrali się do Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, bo tam zrozumieją, że polski rząd wspomnianą ustawą broni Polski przed destrukcyjnym wpływem komunistycznych sędziów.

Prace nad ustawą kagańcową zaczęła senacka komisja spraw zagranicznych i UE. Przyszli sędziowie z pierwszą prezes Sądu Najwyższego, rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, organizacje pozarządowe, przedstawiciele zawodów prawniczych, naukowcy. Nie było za to nikogo z Ministerstwa Sprawiedliwości. Może rząd uznał te obrady za prywatne? A może zastosował to samo rozumowanie, które politycy PiS ujawnili, tłumacząc, dlaczego z okazji kryzysu irackiego nie ma sensu zwoływać Rady Bezpieczeństwa Narodowego z udziałem opozycji: po co rozmawiać z kimś, kto nie decyduje, więc jego zdanie nie ma znaczenia? No właśnie. A po co w ogóle opozycja, skoro o niczym nie decyduje? Usunąć – zaoszczędzi się pieniądze.

PiS prawdopodobnie liczy, że wywalczy dla siebie w Unii taką autonomię (czytaj: wykluczenie) w dziedzinie sądownictwa jak w sprawie klimatu. Na razie nadal pracuje nad opinią publiczną: TVP zapowiedziała właśnie nowy program: „Kasta”, w którym będzie „ujawniać szokujące fakty” o działalności sędziów.

EWA SIEDLECKA

„Boże Ciało” z nominacją

Film Jana Komasy z Bartoszem Bielenią w roli głównej znalazł się w gronie pięciu tytułów, które powalczą o Oscara w kategorii najlepszy film międzynarodowy (dawniej: nieanglojęzyczny). To ogromny sukces twórców „Bożego Ciała” oraz całego sztabu wspomagającego ich amerykańską kampanię promocyjną. W ubiegłym roku podobną drogę przeszła – z triumfem na końcu – „Zimna wojna” Pawła Pawlikowskiego. Polskie kino przeżywa więc dni chwały, mimo że nie stoją za nim w tej chwili ani wielkie pieniądze, ani przebojowe agencje hollywoodzkie. Najmocniejszą



stroną „Bożego Ciała” jest oczywiście uniwersalna, chwytająca za serce przypowieść o potrzebie duchowości i cenie, jaką płacimy dziś za prawdę – gdy ludzie potrzebują kogokolwiek, kto ma czyste intencje, nawet jeśli tym kimś okazuje się oszust. A takiego bohatera wspaniale gra Bartosz Bielenia, tegoroczny laureat Paszportu POLITYKI. Triumf Polaków przypieczętowały już hollywoodzkie wytwórnie, proponując Janowi Komasi i Mateuszowi Pacewiczowi, autorowi scenariusza „Bożego Ciała”, napisanie na jego podstawie serialu, który miały być nakręcony za oceanem w tamtejszych realiach. Czy będzie Oscar, przekonamy się już 9 lutego. (JW.)

O laureatach Paszportów POLITYKI piszemy na s. 74.

Ziobryści pęcznieją

Zbigniew Ziobro zachęcany tym, że w Sejmie ma 18 posłów, z przytupem reaktywuje Solidarną Polskę. Zaczyna – co nie bardzo podoba się Jarosławowi Kaczyńskiemu – od wyławiania ludzi PiS. Wykorzystuje lokalne konflikty i kusi zasobami, które zgromadzili ziobryści. Janusz Kowalski, poseł SP z Opola, został wiceministrem Aktywów Państwowych, ma więc sporo do zaoferowania. Wiceminister Kowalski wypełnia sejmową lukę po Patryku Jakim. Przekonał do wejścia w szeregi ziobrystów trzech radnych sejmiku opolskiego, dwóch miejskich z Opola i kilku na poziomie powiatowym. – *Wreszcie rządząca w województwie PO poczuje, że jesteśmy opozycją, bo PiS nie potrafił tego zrobić* – mówi polityk SP. Kilku działaczy na Podlasiu też zmieniło barwy i przeszło z PiS do SP (czytaj s. 21). Do końca ubiegłego roku otwarte było okno transferowe w ramach Zjednoczonej Prawicy, ale nawet prezes Kaczyński jest ponoć zaskoczony i zaniepokojony tym, że był aż taki ruch.

Dzień przed Wigilią na posiedzeniu zarządu SP nowym sekretarzem generalnym partii został poseł Mariusz Kałużny (rocznik 1986), a skarbnikiem – minister środowiska Michał Woś (1991), który zasłynął tym, że bardzo kreatywnie dla promocji SP potrafił korzystać ze środków Funduszu Sprawiedliwości. Pod koniec roku ziobryści reaktywowali też Forum Młodych Solidarnej Polski, czyli partyjną młodzieżówkę, na czele której stanął Norbert Kaczmarczyk (1989). Do tej pory szefem młodych był Paweł Gajewski, politycznie związany z Jackiem Kurskim. Gajewski jest dziś dyrektorem w TVP, prawą ręką prezesa telewizji, i wciąż dba o to, aby ziobryści byli w TVP pokazywani często i w odpowiednio dobrym świetle.

Kaczmarczyk w lipcu 2019 r. odszedł z klubu Kukiza, wystartował w wyborach z list PiS w Tarnowie, a niedawno przystąpił do SP. Jest młodym rolnikiem, mówi się, że niebawem może zostać wiceministrem rolnictwa. Nie podpisał deklaracji Nowego Pokolenia w Polityce, którą przygotował Patryk Jaki,



Od lewej: szef młodzieżówki Solidarnej Polski Norbert Kaczmarczyk, prezes SP Zbigniew Ziobro, sekretarz partii Mariusz Kałużny oraz skarbnik Michał Woś.

ani też nie dostał w kampanii wielkiego poparcia od ziobrystów. Z dalekiego 10. miejsca dostał się do Sejmu, jest popularny w regionie. – *Wstąpiłem do Solidarnej Polski, ponieważ stawia się tutaj na ludzi młodych, a to niezbędne, aby prawica w Polsce była silna. Jest to organizacja bliska mi ideowo* – mówi. Dodaje, że odkąd został szefem młodzieżówki SP, odebrał wiele telefonów od młodych ludzi, którzy są zainteresowani współpracą. – *Będę się z nimi spotykał, będę im organizował szkolenia medialne, bo zależy mi na tym, aby Polska miała mądrą młodzież, dla której ważne są polskie wartości. Jeśli później będą chcieli zapisać się do naszej partii, to wspaniale, ale nie to jest najważniejsze i nie będzie obowiązkowe* – zapowiada Kaczmarczyk.

(DĄB.)

Casting na kandydata

Po miesiącach plotek i spekulacji Lewica zdecydowała, że jej kandydatem na prezydenta będzie **Robert Biedroń**. Powrócono więc do punktu wyjścia, ponieważ Biedroń był już typowany na kandydata latem, kiedy zgłaszano listy kandydatów do wyborów parlamentarnych. Wówczas tłumaczono, że – wbrew wcześniejszym zapowiedziom – były prezydent Słupska nie wybiera się do Sejmu nie dlatego, że woli europarlament (i zarobki europośla), ale dlatego, że wierzuchszta lewicowej koalicji ma wobec niego „inne plany”.

Przez kolejne miesiące wyraźnie było jednak widać, że zapał Biedronia do ubiegania się o najważniejszy urząd w państwie również maleje. Wzrastac zaczęły za to notowania Adriana Zandberga – głównie za sprawą jego popisów retorycznych na mównicy sejmowej. I zaraz po tym, jak pojawiły się sugestie, że to lider Razem powinien kandydować w majowych wyborach, przedstawiciele Lewicy zaczęli twierdzić, że żaden z „trzech tenorów” nie wystartuje w prezydenckim wyścigu, a zamiast któregoś z nich wskazana zostanie „kandydatka”. Złośliwi dodawali, że to pomysł



Włodzimierza Czarzastego, który w ten sposób chce ukrócić przywódcze zapędy Biedronia i Zandberga. Nawet jeśli tak było, to plan spalił na panewce.

– *Na Jolancie Banach, pomimo bardzo dobrego wyniku w ostatnich wyborach, ciężko byłoby brak mandatu posłanki. Z kolei Małgorzata Sekuła-Szmajdzińska chciała mieć pewność, że jest popierana przez większość członków partii, a nie że została*

wytypowaną podczas rozmów przy zielonym stoliku – mówi jeden z polityków SLD. Wśród potencjalnych kandydatek wymieniano także wicemarszałek Senatu Gabriellę Morawską-Stanecką oraz rzeczniczkę SLD Annę Marię Żukowską, której nazwisko miał rzucić podczas konwencji zjednoczeniowej Wiosny i SLD Czarzasty, wywołując dezaprobatę zebranych.

Z powodu braku odpowiedniej kandydatki powrócił więc temat Biedronia. A zaraz potem – jego partnera, posła Krzysztofa Śmiszka, który 1 stycznia opublikował w mediach społecznościowych informację sugerującą, że to on będzie kandydował na prezydenta. Tego było za wiele dla SLD; tweety Śmiszka zrzucano na jego „krotochwilny charakter”, a chwilę później czołowi politycy Lewicy ogłosili, że stawiają na Biedronia. Teraz kandydat będzie musiał zjednać sobie całe środowisko lewicy. I choć Biedroń ma poparcie zarządu obu partii, to nie wiadomo, czy uda mu się zmobilizować działaczy z mniejszych miejscowości. Problem może mieć zarówno z kadrami SLD, które bywają dość konserwatywne obyczajowo, jak i z działaczami partii Razem, którzy wierzyli, że kandydatem zostanie ich lider. (JR)



Tajwan na dystans

Tajwańczykom nie spieszy się do zjednoczenia z Chinami Ludowymi, przynajmniej nie z takimi, które tłamszą autonomię Hongkongu i straszą Tajwan zbrojną interwencją. Ponownie na prezydentkę wybrali 63-letnią **Tsai Ing-wen**, gorącą zwolenniczkę niepodległości wyspy. Wolą ją od opozycji namawiającej do poszukiwania kompromisu z komunistami z kontynentu. Kwestia zachowania faktycznej niepodległości jest kluczowym kryterium sympatii i decyzji politycznych. Teraz atmosfera sprzyja postulatowi, by owszem, robić z komunistami interesy, ale nie ufać i trzymać ich na dystans, przede wszystkim nie dać się zwabić na politykę „jeden kraj, dwa systemy”, ćwiczoną w rozprotestowanym Hongkongu.

Jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się, że partia Tsai odda władzę. Najpierw doznała porażki w wyborach lokalnych, a potem sondaże nie były dla niej łaskawe. Nastroje odmieniła sytuacja w Hongkongu i lepsze wyniki gospodarki, tajwańscy przedsiębiorcy zaczęli zapełniać luki tworzące się w wyniku amerykańsko-chińskiego sporu handlowego. Reelekcji nie zaszkodziły także fake newsy rozpowszechniane w serwisach społecznościowych i w tradycyjnych mediach należących do przychylnych Chinom biznesmenów.

Właśnie Chinom przypisuje się akcję dezinformacji, ale na wyborcach wrażenia nie zrobiły rewelacje m.in. o domniemanym homoseksualizmie prezydentki, mieszkającej z dwoma kotami oraz niedawno przysparzonymi trzema



emerytowanymi psami przewodnikami. Rozsiewano też plotki o tym, że państwo, które dopiero co zalegalizowało małżeństwa tej samej płci, będzie deprawowało dzieci w szkołach. Albo o tym, że Tsai dyplom London School of Economics kupiła itd. Świetny wynik (zdobyła ponad 8 mln głosów, najwięcej w historii bezpośrednich wyborów prezydenckich) ma być także efektem odkrycia przez Tsai internetu, który dotąd ignorowała. Tam odnalazła ją młodzi wyborcy, których polityka zainteresowała głównie pod wpływem dramatycznych doświadczeń ich hongkońskich rówieśników.

W Teheranie żałoba i złość.

Lot przerwany po dwóch minutach

Wbrew długim i kategorycznym zaprzeczeniom po katastrofie Iran oficjalnie przyznał się do „bezintencyjnego” zestrzelenia ukraińskiego samolotu pasażerskiego ze 176 osobami na pokładzie; wszystkie zginęły. Boeing 737, lecący do Kijowa, tuż po starciu z teherańskiego lotniska został zestrzelony przez wojsko rosyjską raketą krótkiego zasięgu Tor; zostały one zakupione w Rosji w 2005 r. Kilka godzin wcześniej Irańczycy dokonali ataku raketowego na amerykańskie instalacje wojskowe i irańska obrona przeciwlotnicza uznała samolot cywilny za amerykański pocisk balistyczny. (W 1988 r. po błędzie w rozpoznaniu rakiet odpalona z krążownika USS Vincennes trafiła irański samolot pasażerski lecący do Dubaju, zginęło 290 osób). Początkowo strona irańska ogłosiła, że nie przekaże danych z czarnych skrzynek, ale stopniowo łagodziła ton. Najszybciej w Teheranie pojawiła się 45-osobowa ekipa z Ukrainy, która korzysta z doświadczeń zdobytych podczas katastrofy malezyjskiego samolotu zestrzelonego przez donbaskich separatystów rosyjską raketą Buk w 2014 r.

Według konwencji chicagowskiej, podpisanej przez Iran, w pracach śledczych i formułowaniu wniosków powinni uczestniczyć także przedstawiciele producenta samolotu oraz wszystkich krajów, które miały swoich obywateli na pokładzie. Szczególnie aktywnie chciałaby się w nie włączyć Kanada; w katastrofie zginęło 63 Kanadyjczyków, a z Kijowa większość z 82 Irańczyków miała lecieć dalej do Toronto, wśród nich wielu doktorantów i pracowników nauki wracających ze świąt.



Harry i Meghan idą do pracy

Mini rewolucja w monarchii brytyjskiej. Młodszy syn następcy tronu **książę Harry** i jego żona **Meghan Markle** ogłosili, że chcą zrezygnować ze swych zobowiązań publicznych i stać się małżeństwem niezależnym finansowo. Para zapowiedziała również, że chce dzielić dalsze życie między Anglię i Stany Zjednoczone i w podwójnej kulturze wychowywać dzieci. Młodzi Brytyjczycy nie widzą w tym nic zdrożnego, a nawet skłonni są pochwalać, że 35-letni książę, dawniej pilot helikoptera, i 38-letnia żona, dawniej aktorka, wróciliby do wcześniejszych zajęć i żyli przynajmniej w części jak zwyczajni ludzie. Tym bardziej że książę Harry – po narodzinach trojga dzieci swego starszego brata Williama – spadł na dalsze miejsce w linii dziedziczenia tronu i jest co najwyżej „głębokim zapasem” monarchii. Pamięta się też jego wypowiedź sprzed małżeństwa, że od życia dworskiego wolał 10-letnią służbę wojskową, kiedy dla kolegów oficerów nie był księciem Sussex, a po prostu „Harrym”.

Część opinii, zwłaszcza ludzi starszych, podkreśla jednak, że księżęta krwi powinni żywić tradycyjne poczucie służby krajowi i pozostać przy obowiązkach królewskich,

nawet jeśli są uciążliwe, bo polegają na mechanicznie powtarzalnych ceremoniach, inauguracjach, patronatach, zdawkowych rozmowach i ściskaniu rąk. Ekwiwalentem tych obowiązków są tytuły (Jego i Jej Królewska Wysockość), rezydencje i niemałe apanaże ze środków publicznych, a nie wygląda na to, by małżeństwo Sussex chciało z nich zrezygnować. Choć z drugiej strony para zgromadziła już majątek osobisty oceniany na 30 mln funtów (Harry – z dziedziczenia) i 5 mln funtów (Meghan – głównie za role aktorskie). Z pewnością zajdzie jakaś oficjalna zmiana pozycji książąt Sussex, choć ich sytuację osłabia to, iż wydalili komunikat bez porozumienia z królową.

W kraju ciągle obowiązuje ustawa o małżeństwach królewskich dająca rządowi prawo oceny kandydatki czy kandydata na małżonka w rodzinie monarszej. Po pierwszych zachwytach nad progresywnością monarchii i rządu, które zaakceptowały Meghan jako osobę spoza arystokracji, w dodatku Amerykankę, rozwódkę i z czarnoskórej matki, brytyjskie tabloidy odnoszą się do Meghan zdecydowanie niechętnie, a nawet wrogo – z ledwie skrywanym podtekstem rasistowskim. Ironicznie traktuje się ich deklaracje ekologiczne, wskazując, że przedkładają samolot nad podróże pociągiem i cieszą się ostentacyjnym luksusem. To najbardziej rozrzutna, egoistyczna, samolubna i zarozumiała para w rodzinie – pisano. Tabloidy zarzucają też księżnej wręcz chęć oderwania księcia od rodziny monarszej i porównują Meghan z inną Amerykanką – Wallis Simpson, której związek z królem Edwardem VIII był jednym z powodów jego abdykacji w 1936 r. i potem jego emigracji.

Orbán funduje in vitro

Od 1 lutego państwo będzie pokrywało koszty terapii in vitro – ogłosił premier Viktor Orbán, uznając zwiększenie rozrodności Węgrów za „czynnik strategiczny”. „Jeśli chcemy mieć węgierskie dzieci, a nie imigrantów, powinniśmy wszelkimi środkami wspierać politykę prorodzinną” – podsumował w swoim stylu. W grudniu upaństwowiono sześć klinik, w których będą się odbywać refundowane zabiegi. Już od stycznia zaś matki, które mają przynajmniej czwórkę dzieci, przestały płacić podatek dochodowy. Orbán zapowiedział, że rozważa się, aby z podatku zwalniała już trójka dzieci, a wcześniej do listy bonusów dorzucił dopłaty do siedmioosobowych rodzinnych samochodów i 10 mln forintów (ok. 130 tys. zł) pożyczki dla młodych małżeństw, która byłaby umarzana po narodzinach trzeciego dziecka.

Węgrów ubywa w tempie 32 tys. rocznie; w 1980 r. było ich 10,7 mln, dziś – 9,7 mln, a jeszcze 600 tys. pracuje na Zachodzie i nie wiadomo, czy wrócą. Z rachunku demograficznego wynika, że aby ten trend odwrócić, kobiety w wieku prokreacyjnym, których jest coraz mniej, powinny rodić dużo więcej dzieci. Przynajmniej trójkę! W tej chwili na każdą przypadła średnio 1,45 dziecka, co daje Węgom 17. miejsce w Unii (listę otwiera Francja i Szwecja, a zamykają Hiszpania i Włochy). Polska jest jeszcze o pięć miejsc za Węgrami!

Cisza w Libii

W niedzielę umilkły działania wojenne w rozdartej wojną domową Libii. A w poniedziałek walczące strony miały podpisać w Moskwie zawieszenie broni. To efekt umiędzynarodowienia konfliktu, który od upadku Muammara Kaddafiego pochłonął już 300 tys. ofiar, zniszczył gospodarkę i wywołał kryzys migracyjny. Od 2014 r. Libia ma dwa rządy: pierwszy z nich, międzynarodowo uznany rząd Fajeza al-Sarradża, kontroluje wschodnią część kraju ze stolicą w Trypolisie. Drugi powstał za sprawą zbuntowanego generała Halifa Haftara, którego liczniejsze siły opanowały już wschód i centrum kraju. Zawieszenie broni przyszło w kluczowym momencie, bo Haftar zajął właśnie ważne portowe miasto Sirte i zbliżał się do Trypolisu.

Strony libijskiego konfliktu od dawna mają zagranicznych patronów. Premiera Sarradżę popierają m.in. Katar i Włochy. Haftar – Zjednoczone Emiraty Arabskie, Arabia Saudyjska i Egipt. Ale dopiero bezpośrednie wsparcie Haftara przez Rosję i ostatnio Sarradża przez Turcję paradoksalnie może zakończyć konflikt. „Moskwa i Ankara nie mają zamiaru bić się o Libię. To raczej pomysł, aby podzielić się wpływa-



Libia jest rozdarta między dwoma ośrodkami władzy: jeden wspiera Rosję, drugi Turcję. Na fot. akademia wojskowa w Trypolisie.

mi w kraju o tak strategicznym znaczeniu, przy zupełnej bierności Europy i Ameryki” – zatweetował Emededdin Badi, ekspert ds. Libii z Middle East Institute. Położenie sprawia, że Libia jest niezbędna dla kontroli wschodniego Morza Śródziemnego oraz migracji z południa Afryki. A przy tym jest zasobna surowcowa. Jeśli libijski zawieszenie broni się utrzyma, na wiosnę w Berlinie zaplanowana jest konferencja pokojowa – pod dyktando Putina i Erdoğan.

Pan Kryzys

Czy nieracjonalny i impulsywny Donald Trump chce wywołać wojnę na Bliskim Wschodzie? Nie musi. Swoje zrobili jego racjonalni i przewidywalni poprzednicy.

ŁUKASZ WÓJCIK

To był prawdopodobnie najbardziej burzliwy przełom roku na Bliskim Wschodzie od... zeszłego roku. Zaczęło się pod koniec grudnia w Iraku, gdy jedna z proirańskich bojówek ostrzelała dwie amerykańskie bazy, zabijając przy tym obywatela USA, 33-letniego Nawresa Hamida. W odpowiedzi Amerykanie zbombardowali bazy tej bojówki – 25 ofiar. Dwa dni później w Bagdadzie rozpoczęły się antyamerykańskie demonstracje, z finałem w postaci szturm na Ambasadę USA i krótką okupacją części jej terenu. I gdy już wydawało się, że spirala eskalacji została





Jedna z wielu demonstracji ku czci generała Sulejmaniego, jakie przetoczyły się w regionie. Tutaj ulice Sady w Jemenie.

zatrzymana, 3 stycznia w pobliżu bagdadzkiego lotniska amerykański dron zbombardował auto, w którym podróżował gen. Kasim Sulejmani.

Wówczas, z powodu politycznej wagi zabitego, podniosły się głosy, że świat stoi u progu wojny. 62-letni generał w praktyce był – po Najwyższym Przywódcy Alim Chameneim – drugą osobą w irańskim reżimie. Chamenei oddał Sulejmaniemu prowadzenie polityki zagranicznej na całym Bliskim Wschodzie, z zadaniem budowy strefy irańskich wpływów. Wykorzystywał do tego inne słabnące reżimy, którym oferował pomoc (Baszar Asad w Syrii), albo szyckie społeczności w krajach arabskich (Irak, Jemen), odwołując się do więzi wyznaniowej z szyickim Iranem. W reakcji na jego śmierć Irańczycy zaatakowali raketami dwie amerykańskie bazy, ale niektóre źródła twierdzą, że tylnymi kanałami przedzili Waszyngton o ataku, dlatego nikt nie zginął.

Gdy wydawało się, że to już naprawdę koniec eskalacji, pod Teheranem rozbił się pasażerski boeing Ukrainian International Airlines ze 176 osobami na pokładzie. Irańczycy początkowo twierdzili, że zawiódł silnik, i nie chcieli dopuścić do śledztwa zagranicznych ekspertów ani wydać czarnych skrzynek. Gdy jednak pojawiły się nagrania z momentu katastrofy, przyznali, że to ich obrona przeciwrakietowa przypadkowo zestrzeliła samolot. Nie omieszkali jednak dodać, że to wina Trumpa, bo „swoją wojenną postawą przygotował grunt pod tę tragedię”.

Zachodni krytycy Trumpa są w sumie podobnego zdania. A nawet idą dalej – prezydent USA, podejmując decyzję jak ta o zabójstwie Sulejmaniego, niszczy pokój w regionie.

– *Takie podejście przypisuje Trumpowi zbyt dużą sprawczość* – uważa libański analityk Rami Churi. – *Wiele, ale nie wszystko na Bliskim Wschodzie jest winą Ameryki.*

Zresztą bliskowschodni eksperci są mniej alarmistyczni niż ci spoza regionu. Według Churiego wynika to stąd, że nie stawiają Trumpa w centrum swoich analiz. I są świadomi, jak morderczą i bezwzględną maszyną zbudował Sulejmani. Irańczyk był nie tylko kolejnym *bad guyem* w regionie, jak mówi o nim amerykańska administracja. On był najgorszym z nich. – *Przez dwie dekady Sulejmani odgrywał tak centralną rolę w polityce regionu, że nawet ci, którzy go nienawidzili, nie mogli uwierzyć, że nie żyje.*

Zabójstwo Sulejmaniego zawiera w sobie wszystkie paradoksy polityki Trumpa wobec Iranu. – *Irańczycy żartują czasem, że Chamenei jest jedynym dyktatorem, którego Trump nie lubi* – przekonuje Fanar Haddad, irański ekspert z Middle East Institute. – *I coś w tym jest, bo Putin to dla Amerykanina „świątynny gospodarz”. Z Kim Dzong Unem dogada się ponoć w każdej sprawie. Xi Jinping dla Trumpa jest władcą niemal idealnym: sprawczy, bez limitu kadencji, wręcz godny naśladowania. A z Chameneim i innymi irańskimi liderami mu nie idzie, osobisty urok prezydenta nie działa.*

W maju ubiegłego roku Trump groził Iranowi, że jeśli chce walczyć z Ameryką, „czeka go anihilacja”. W czerwcu Irańczycy zestrzelili amerykańskiego drona. Trump zarządził militarny odwet, samoloty nawet wystartowały, ale w ostatniej chwili wszystko odwołał. We wrześniu, podczas Zgromadzenia Ogólnego ONZ, Trump próbował nawet dodzwonić się bezpośrednio na spotkanie prezydenta Iranu Hasana Rohaniego z Emmanuelem Macronem. Ale Irańczyk powiedział „nie”. – *To był typowy Trumpowy gest. Prezydent podjął ryzyko, został odrzucony i się obraził. Impuls ma w tych relacjach niebagatelne znaczenie.*

Trump jeszcze gorzej reaguje, gdy w kontekście Iranu ktoś porówna go do Baracka Obamy. Jak pisał kilka dni temu „The Washington Post”, w Białym Domu zawrzało, gdy przy okazji wdarcia się demonstrantów na teren bagdadzkiej Ambasady USA jeden z demokratycznych ►

► kongresmenów użył sformułowania „Trumpowe Bengazi”. Osiem lat temu w tym libijskim mieście tłum wdarł się do budynku amerykańskiej placówki dyplomatycznej. Zginął wtedy ambasador USA w Libii Christopher Stevens i trzech inni Amerykanie.

W prezydenckiej kampanii Trumpa „Bengazi” stało się synonimem nieudolności Obamy i Hillary Clinton, ówczesnej sekretarz stanu. – *Dlatego nie może dopuścić do własnego Bengazi* – uważa Anthony Cordesman z Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych w Waszyngtonie. – *Gdy sytuację w Bagdadzie porównano z Bengazi, Trump nie wytrzymał. To wtedy zapewne nakazał zabicie Sulejmaniego, choć wielu ekspertów mu to odradzało z powodu groźby niekontrolowanej eskalacji konfliktu. To szalenie niebezpieczne dla politycznego lidera przypadłość: wystarczy wiedzieć, gdzie nacisnąć, aby zrobić coś nieracjonalnego.*

Z drugiej strony, twierdzą zwolennicy prezydenta, nakazując zabicie Sulejmaniego, Trump wyznaczył po prostu czerwoną linię, na którą nie zdobyli się jego poprzednicy: wiele można zamieść pod dywan, ale Ameryka nie będzie tolerować zabójstwa lub bezpodstawnego przetrzymywania swoich obywateli. O ile więc Waszyngton w ostatnich miesiącach potrafił strategicznie przymknąć oko na kolejne irańskie prowokacje – zestrzelenie amerykańskiego drona, utrudnianie ruchu statków w cieśninie Ormuz – o tyle zabijanie Amerykanów już nie przejdzie.

Cordesman uważa, że Trump w ten swój surowy sposób próbuje zaradzić wielkiej amerykańskiej (i swojej) traumie, związanej z przetrzymywaniem przez Iran 52 amerykańskich zakładników

zaraz po rewolucji islamskiej w 1979 r. Ostatecznie wszyscy zostali uwolnieni, ale wspomnienie tamtej bezsilności amerykańskiego państwa do dziś bębni w głowach wielu Amerykanów.

Trump sprawę traktuje bardzo osobiście, tamten kryzys stał się dla niego wydarzeniem politycznie formacyjnym. W 1980 r., gdy jeszcze zakładnicy byli więzieni, w plotkarskim wywiadzie, jaki przeprowadziła z nim Rona Barrett, 34-letni wówczas Trump przekonywał, że Ameryka musi się szanować, aby inni ją szanowali: „Fakt, że przetrzymują naszych obywateli, jest kuriozalny. To jakiś absurd, że Ameryka na to pozwala”. Powiedział również, że Ameryka powinna natychmiast wysłać żołnierzy, porównał całą sytuację z Wietnamem. – *Brak pomysłu na rozwiązanie tamtego kryzysu kosztował prezydenta Jimmy’ego Cartera drugą kadencję* – uważa Anthony Cordesman. – *Trump w wyborczym roku musiał więc pokazać, że nie boi się Irańczyków.*

Ta irańska trauma u Trumpa jest wieloobjawowa. Kilka dni temu zapowiedział, że Ameryka ma już listę 52 celów w Iranie, czyli tyle, ilu było zakładników. Z tej samej przyczyny Trump szczególnie interesuje się i działa w sprawie Amerykanów przetrzymywanych przez obce państwa. Wielu z nich udało się sprowadzić do kraju, m.in. Otto Warmbiera z Korei Północnej czy pastora Andrew Brunsona z Turcji. Nie przypadkiem też jego aktualny doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Robert O’Brien wcześniej doradzał prezydentowi w sprawie zakładników.

Doświadczenia z 1979 r. przekładają się również na stosunek Trumpa do tzw. umowy nuklearnej, którą z Iranem zawarł Barack Obama. Trump krytykował to porozumienie z Iranem jeszcze na etapie negocjacji, ale w zasadzie



Lotnisko w Kijowie – miejsce pamięci o tych, którzy zginęli w Teheranie w zestrzelenym samolocie.

nigdy nie wyłożył dlaczego, nie wskazał, które regulacje mu się nie podobają. Jedynym elementem tej umowy, do którego się przytrzymał, było odmrożenie irańskich pieniędzy z kont, które są w zasięgu amerykańskiego rządu. W 2013 r. przysły prezydent napisał na Twitterze: „Ameryka zablokowała Iranowi 8 mld dol. podczas kryzysu zakładniczego z 1979 r. A Obama oddaje te pieniądze”.

Bez zrozumienia tamtego poczucia bezsilności sprzed 40 lat trudno więc zrozumieć współczesną fiksję Trumpa na punkcie Iranu. W ostatnim numerze magazynu „The Atlantic” David Graham zwraca uwagę, że Trump za swojego publicznego życia zmieniał zdanie praktycznie we wszystkich kluczowych sprawach, czasem wielokrotnie, jak w przypadku aborcji, przynależności partyjnej (był demokratą) czy wojny w Iraku (kiedyś ją gorliwie popierał). Nie drgnął natomiast w sprawach, na które wyrobił sobie zdanie jeszcze przed życiem publicznym, w latach 70. i 80., jak np. protekcjonizm w handlu czy imigracja. Tu jest jakby impregnowany na nowe fakty i argumenty. Jego opinie wywodzą się raczej z trzewi niż z politycznej kalkulacji. Dlatego bywają nieracjonalne. Ale to nie znaczy, że Trump nie ma racji.

Obecnego prezydenta USA łatwo nie lubić. Jaki jest, każdy widzi i słyszy. Problem zaczyna się, gdy krytycy robią z Trumpa politycznego wariata. Uznają, że jego działania nie są nawet warte rzetelnej krytyki. I po prostu wyśmiewają go, co niejednokrotnie jest po prostu przejawem intelektualnego lenistwa.



Uznanie Trumpa za nieobliczalnego zwalnia obserwatorów z próby zrozumienia, co się od kilku lat dzieje nie tylko z amerykańską polityką zagraniczną, ale też z Bliskim Wschodem.

Otóż twierdzenie, że Trump swoją nieodpowiedzialną polityką podpała Bliski Wschód, jest w dużym stopniu nieporozumieniem. – *Oczywiście jego polityka jest nieodpowiedzialna, ale Bliski Wschód płonie już od prawie 20 lat* – twierdzi Fanar Haddad. – *Wystarczy zapytać Irakijczyków lub Syryjczyków*. I to wcale nie z powodu Trumpa, który dwie dekady temu był jeszcze na etapie telewizyjno-celebryckim. Ale z powodu jego odpowiedzialnych – jak się zdawało – poprzedników w Białym Domu.

Tu potrzebne jest pojęcie liberalnej hegemonii. Po zakończeniu zimnej wojny Ameryka nie zredukowała znacząco swojego potencjału militarnego, a co za tym idzie – swoich globalnych ambicji. Musiała je tylko odpowiednio przekierunkować. Wybór wydawał się wówczas oczywisty – to nasz amerykański pomysł na politykę wygrał: prawa człowieka, rządy prawa, kapitalizm. Musimy więc podzielić się nim z innymi narodami. Z tego właśnie przeświadczenia zrodziła się idea liberalnej hegemonii ze swoim podstawowym założeniem – jeśli uda nam się rozplenić nasze liberalne i demokratyczne standardy, na świecie zapanuje pokój. Czy tego świat chce, czy nie.

Choć brzmi to jak cytaty z George’a Busha juniora, to podobne, choć jeszcze nie tak mocno wyartykułowane, ambicje miał już Bill Clinton w pierwszej kadencji odnośnie do Bałkanów, a w drugiej – wobec Afryki. Bush junior i jego wojny w Afganistanie i Iraku to już kwintesencja tejże liberalnej hegemonii: obalmy satrapów i religijnych ekstremistów, dajmy tym ludziom prawo do głosu, a wkrótce na Bliskim Wschodzie zapanuje pokój.

Amerykanie, wdrażając tę wizję na Bliskim Wschodzie, zapętlili się. – *Postępując się fałszywymi argumentami – broń masowego rażenia w Iraku – zniszczyli kruchą równowagę w regionie* – przekonuje Rami Churi. – *Choćby dlatego, że rządzony silną ręką przez Saddama Husajna Irak blokował regionalne wpływy Iranu – aż przyszli Amerykanie. Tu oczywiście pojawia się „liberalny” argument, że przecież Husajn był zły i mordował ludzi. Ale co mają dziś powiedzieć rodziny 700 tys. Irakijczyków, którzy zginęli tylko w trzech pierwszych latach wojny [2003–06]?*

Następca Busha Barack Obama rozpoczął urzędowanie z silnym postanowieniem wycofania Ameryki z Bliskiego Wschodu. Udało mu się zmniejszyć liczbę amerykańskich żołnierzy w Iraku, a potem również w Afganistanie. Idée fixe Obamy było „rebalansowanie”, czyli przekierowanie strategicznego zaangażowania Ameryki z Bliskiego Wschodu do Azji. Z czasem jednak zrezygnował z opcji zerowej w Afganistanie, amerykański kontyngent w Iraku znów się powiększył, a dodatkowo Obama zdecydował się na kampanię w Libii, która dziś jest upadłym państwem. Za prezydentury Obamy oplakane skutki amerykańskich interwencji na Bliskim Wschodzie były już aż nadto widoczne. A mimo to kontynuował on politykę swojego poprzednika, obawiając się utraty zainwestowanych już „środków”: życia tysięcy Amerykanów, bilionów dolarów i czasu.

Krytycy Trumpa atakują go właśnie od tej strony: obecny prezydent USA niszczy stabilność regionalną, w którą Ameryka już tyle zainwestowała.

Tylko pytanie: jaką stabilność? Popularna ostatnio teza głosi, że zabijając Sulejmaniego, Ameryka ostatecznie „straciła” Irak, w którego odbudowę tak bardzo się zaangażowała. I rzeczywiście, iracki parlament zaapelował o wyrzucenie amerykańskich żołnierzy z kraju. A Waszyngton stracił jakikolwiek wpływ na iracką politykę. Problem w tym, że tak naprawdę nigdy go nie miał. Irakijczycy brali od Amerykanów pieniądze, potulnie grając w teatrze demokratycznych instytucji i wyborów. A Amerykanie udawali, że nie widzą, jak to wszystko naprawdę działa.

Z tej perspektywy Trump jest jak cykliczny kryzys w kapitalizmie. Przez lata biznes się kręci, grube ryby utrwalały określony model rozwoju gospodarczego (liberalna hegemonia). I nawet jeśli pojawiają się pierwsze sygnały, że ów model się wyczerpał, to tak wielu tak wiele już w niego zainwestowało (politycy, eksperci, dziennikarze), że muszą oni udawać, że wszystko jest świetnie, bo inaczej dojdzie do krachu, na którym wiele stracą. To pułapka. Kryzys i tak przyjdzie i zniszczy stary model. Im dłużej będziemy się oszukiwać, że Trump niszczy jakąś stabilność na Bliskim Wschodzie, tym większe będą koszty otrzeźwienia.

Trump jest właśnie tym nieświadomym siebie samego otrzeźwieniem. Kryzysem, który ujawnia porażkę dwóch dekad amerykańskiej polityki na Bliskim Wschodzie. Nie działa z rozmysłem, poddaje się impulsom i traumom. Zapewne nigdy nie słyszał o liberalnej hegemonii, ale w głębi duszy boi się świata, bo go nie zna. Dlatego najchętniej schowałby się w Mar-a-Lago, swojej rezydencji na Florydzie. I do tego samego próbuje przekonać resztę Amerykanów. Czy to zadziała na korzyść Ameryki? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że dotychczasowy model nie działa.

ŁUKASZ WÓJCIK

Grzegorz Schetyna wreszcie uległ. Jego historia na stanowisku szefa Platformy to pretekst do dyskusji o tym, jak i za co krytykowani są politycy w Polsce. I oczywiście – do pytania o dalsze losy samego Schetyny w polityce.

Młotkowanie Schetyny

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI

Grzegorz Schetyna zdecydował, że zamiast startować w wyborach na przewodniczącego Platformy Obywatelskiej, udzieli poparcia Tomaszowi Siemoniakowi, który w ten sposób stał się głównym rywalem Borysa Budki do przywództwa w ugrupowaniu. Po czteroletniej kadencji ustępuje z funkcji szefa PO jako polityk powszechnie wyklęty. Jazda po Schety nie stała się sportem narodowym. Jeśli istnieją wyjątki, to się nie wychylają, bo presja jest tak powszechna. Powody krytyki mają być tak

oczywiste, że nie trzeba wymieniać. W prywatnych rozmowach wystarczy powiedzieć, że Schetyna jest brzydki i nie jest jak Tusk. W publicznych wypadach jeszcze coś dodać, a najłatwiej to, że Platforma Schetyny nie potrafi wygrać wyborów.

Na takie podejście zareagował nawet sam Donald Tusk, kiedyś przyjaciel, a później pogromca Schetyny w PO. Uprzedzając pytanie dziennikarza „Gazety Wyborczej” o zmiany w Platformie, podczas spotkania autorskiego powiedział: „Bardzo odrzucam, jako wręcz niestosowne, takie marudzenie, że Grzegorz Schetyna nie jest innym człowiekiem. Jest takim człowiekiem, jakim jest. Polityka warto oceniać po tym, jakie